

## Polski Woke

Jeśli hipoteza, którą stawiam pod dyskusję, miałyby się okazać prawdziwa, to znaczyłoby to, że Polska ma już rodzimą, narodową odmianę autodestrukcyjnego WOKE: skłonność do przewyciężenia swej ugruntowanej przez wieki zachodniej tożsamości.

Przeoglądam ostatnio „polski Internet”, to znaczy przeróżne polityczne zaułki sieci, gdzie rodacy zwykli emocjonalnie wyrażać swoje opinie na temat polityki. Wyznam szczerze, że dotąd zazwyczaj szkoda mi było na to czasu, tak przewidywalne są to bowiem opinie, zwłaszcza gdy idzie o polską krajową politykę. Ale dwie najświeższe wojny Trumpa – nigeryjska i wenezuelska – wraz z trzecią perską, co prawda na razie *in spe*, ale i tak już żywo dyskutowaną, wywołały moją ciekawość co do aktualnego obrazu polskiej opinii publicznej. Nie tak dawno były takie czasy, że stan opinii publicznej można było rozpoznać, czytając gazety, ale gazety – jak wiadomo – się prawie skończyły; zaś te, które jeszcze jakoś zipią, żadnej „opinii publicznej” nie wyrażają, bo dla przetrwania zaciągnęły się na służbę partyjno-ideologicznych baniek. Inaczej niż myszkując po zakamarkach sieci, niczego na temat stanu opinii już się zatem dowiedzieć nie można, choć też nie sposób zaprzeczyć, iż aktywny w sieci komentariat polityczny to kohorta osobliwa i trochę odjechana.

## Przeczytaj także: Marek Cichocki. Niemcy, Grenlandia, Polska

Moją ciekawość wzmógł Marek Cichocki, który w iście starotestamentalnym tonie napomina naród, iż co do usunięcia przez Amerykanów moskiewsko-pekińskiego namiestnika Wenezueli nie wolno nam stać po stronie wrogów Polski, tylko po stronie przyjaciół. Skoro człowiek spokojny i inteligentny wypisuje takie rzeczy – pomyślałem – to musiał chyba naprawdę przerazić się kondycją naszego wspólnotowego politycznego rozsądku. Próbując dowiedzieć się o tym czegoś więcej, natrafiłem na analizę zrobioną 4 stycznia 2026 przez fundację Res Futura, wedle której już w pierwszym dniu po amerykańskim desancie w Caracas w polskim internecie odnotowano 87 milionów reakcji na te zdarzenia (komentarzy, udostępnień, polubień), spośród których 44% było za Trumpem, a 49% za Maduro. No to ładny gips – pomyślałem. Z jakich to tajemnych powodów doszliśmy do punktu, w którym więcej spośród nas gotowych jest zadać sobie trud publicznego zabrania głosu w obronie komunistycznego tyrana, nienawidzącego wszystkiego, co zachodnie, niżli wyrazić satysfakcję z faktu, iż Ameryka – wbrew nieustannym krakaniom – ciągle nie utraciła zdolności usuwania takich indywiduów? Bo mnie się zdawało, iż to kaganowska wizja Amerykanów, wywodzących się ponoć z wojowniczego Marsa (jak to stoi w książce *Of Paradise & Power*), jest ważną częścią polskiego marzenia, zawsze przecież podszytego strachem, że nazbyt miękcy i zajęci swoimi sprawami Amerykanie mogliby przespać albo po prostu zlekceważyć moment katastrofy Europy Środkowej, jeśliby miał się on znów przydarzyć kiedyś w przyszłości.

Zadziwiła mnie również, w kraju – jakby nie było – ponoć jeszcze katolickim, obojętność wobec nigeryjskiej interwencji Amerykanów, przełomowej dla losów prześladowanych afrykańskich chrześcijan. Prawdę mówiąc, miałem nawet poczucie niekomfortowego wyobcowania ze wspólnoty, widząc, że w Polsce zgoła nikogo z katolików nie poruszyła radość afrykańskich braci w wierze, którzy nagle dostali od Trumpa nadzieję ocalenia. A tymczasem w mojej wyobraźni przesuwają się właśnie legendarne obrazy cudownego ocalenia katolickich mieszkańców pobliskiego Bliznego przez białe wojska Archanioła Michała, podczas jednego z ostatnich najazdów tatarskich w XVII wieku (pewnie zresztą dlatego, że na wzgórze, gdzie dokonał się ów cud, zwane teraz Michałkiem, zwykłem chodzić na dłuższe spacery). W jakimś sensie rozumiem – co nie znaczy, że podzielam – obojętność księży Kościoła, którzy przypuszczalnie sądzą, iż lepiej by chrześcijańscy męczennicy umierali ze słowami miłości wobec nieprzyjaciół, niżli kto miałby wziąć miecz w ich obronie i splamić się nienawiścią. W końcu tak właśnie święty biskup Wiktor powstrzymał swoją owczarnię, która gotowa była zbrojnie ruszyć przeciw znienawidzonej Romie, na wezwanie zbuntowanego przez diabła Irydiona. Ale w przypadku zwykłych chrześcijan, takich jak ja właśnie, żywiących raczej proste, może nie aż tak uświęcone uczucia, czyż nie powinna się była objawić naturalna solidarność z radującymi się i chwalcącymi Trumpa chrześcijanami Białej i całej Nigerii? Dlaczego nie odnalazłem jej prawie nigdzie, ani w sieci, ani w niedzielnych kazaniach, ani w słowach ostentacyjnie katolickich polityków? No, może poza wyjątkowym w tej mierze i godnym pochwały Radiem Maryja.

## **Przeczytaj także: Radość z wojny. Felieton Jana Rokity**

Ale chyba najbardziej zdumiewający okazał się efekt mojego myszkowania po tych zaułkach sieci, gdzie komentuje się perską insurekcję i pomoc, jaką miałyby (bądź też nie?) okazać jej Ameryka. Konkluzja, do której doszedłem, w dwójnasób przeszła moje pierwotne intuicje: otóż wiem już z pewnością, że zbrodniczych szyickich mułłów, od pół wieku panujących nad Iranem, łączy z polskim komentariatem internetowym jakaś przedziwna, nieco skrywana, ale mimo wszystko łatwa do wykrycia nić sympatii. I nie wygląda na to, ażeby tę sympatię „polskiego Internetu” miała osłabić styczniowa rzeź, w trakcie której – jak dopiero teraz się dowiadujemy od perskich lekarzy – zamordowano w ciągu kilku dni być może nawet kilkanaście tysięcy ludzi, a w Teheranie młodzieży manifestującej na rzecz wolności snajperzy celowali – katyńską metodą – w tył głowy. Tę zaiste patologiczną sympatię może najlepiej widać w licznych komentarzach, jakie w sieci towarzyszą marnym (ale z reguły przemyślano) analizom, których autorzy wątpią w skalę represji w Iranie, podkreślają wewnętrzną siłę i autorytet teokratycznego reżimu oraz piętnują Trumpa, stawiając retoryczne pytanie: „Jakie kolejne państwo ma na celowniku Ameryka?”. Natychmiast pojawiają się wtedy nie tylko liczne polubienia i udostępnienia, ale także charakterystyczne wpisy, manifestujące dobre samopoczucie ich autorów, na przykład: „W końcu znalazł się ktoś, kto zna się na Iranie i mówi do rzeczy”. Nie widziałem żadnych badań Internetu w sprawie perskiej, więc (przyznam się do tego) zapytałem AI o ocenę sympatii polskiego Internetu w tej materii. Odpowiedź była taka sama, jak moje intuicyjne wrażenie: polski komentariat jest niechętny perskiej insurekcji wolnościowej i w ogromnej przewadze (dużo większej niżli w przypadku Wenezueli) wrogi wszelkiej amerykańskiej pomocy dla tego powstania.

Nie mam na to wszystko łatwych wytłumaczeń, raczej tylko chwiejne hipotezy, choć niepokojąca przemiana w myśleniu Polaków o świecie jest – moim zdaniem – ewidentna. Rozumiem oczywiście „argument z Trumpa”: jakąś 1/3 współrodaków zmasowana propaganda przekonała, iż Trump to diabeł, a (jak nie bez racji nauczał św. Jan Chryzostom) „diabłu nie wolno wierzyć zwłaszcza wtedy, gdy mówi prawdę”, albowiem mówiąc prawdę lub czyniąc pozorne dobro, chce tylko uśpić czujność człowieka. Ale nawet jeśli spora część liberalno-lewicowej opinii publicznej cały świat ocenia wedle kryterium diabła-trumpiego, to i tak nijak to nie wyjaśnia zadziwiającej zbieżności pomiędzy antyamerykańskim klimatem emanującym z wielkich globalnych mediów (paradoksalnie, łącznie z mediami amerykańskimi) a nastrojem dominującym obecnie w rozdętej i rozgałęzionej polskiej prawicowej bańce internetowej: obrony Maduro, obojętności na los afrykańskich chrześcijan oraz względem pomocy dla perskiej insurekcji. W tej bańce Trump może wydać się idolem, gdy walczy ze swobodą migracji, poprawnością polityczną, czy wolnym handlem, gdyż wtedy sprawia wrażenie wroga reguł, jakie jeszcze do niedawna uważano za sedno cywilizacji zachodniej. Jednak gdy Trump, w imię potęgi i ekspansji Zachodu, wchodzi w konflikt z perską teokracją, latynoskim komunizmem, afrykańskimi islamistami, Hamasem w Gazie, a nawet z wielkimi wschodnimi despotami – Moskwą i Pekinem, to nastroje wyraźnie się odwracają na rzecz tych wszystkich, którzy przeciwstawiają się zachodniej hegemonii.

Wrogowie Zachodu mogą bowiem liczyć w „polskim internecie” jeśli nie na sympatię, to co najmniej na wyrozumiałość albo – jakbym to nazwał – pewien rodzaj afektywnej solidarności, nakazującej w egzaltowanym stylu potępiać *en bloc* zachodnią cywilizację i zachodnią politykę. Albo dlatego, że uosabia ją dziś diabeł Trump, albo dlatego, że sama w sobie

budzi ona już tylko irytację i złość. To właśnie tego samobójczego trendu przestraszył się Marek Cichocki, dlatego nawoływał, byśmy nie stawali po stronie własnych wrogów. A to prowadzi mnie do szerszej hipotezy, wyjaśniającej więcej, niżli tylko moje „odkrycia” w sieci. Zdaje mi się, że w coraz większym stopniu cały ów niespójny w gruncie rzeczy konglomerat interesów, idei i polityk, zwany przez nas Zachodem, jawi się w Polsce, zwłaszcza w młodym pokoleniu, jakąś opresyjną maskaradą, wobec której mało kto żywi już dobre uczucia. W tym konglomeracie mieszają się ze sobą polityczna poprawność, napływ imigrantów, wojny i cła Trumpa, szantaże Komisji Europejskiej, ocieplenie klimatu, mafia z Davos, układ z Mercosurem, proeuropejski Tusk z proamerykańskim Kaczyńskim, utopiona w krwi perska insurekcja oraz przewlekły opór Ukrainy, która przecież też jest ekspozyturą Zachodu i dawno powinna już skapitulować. Jest tu również złośliwy „turbo-kapitalizm”, wraz z koncernami *Big-Tech* i *Big-Pharma*, które są wrogie, choć nałogowo od jednych i drugich się uzależniliśmy, są Niemcy niepłacący reparacji i sterujący rządem polskim, Żydzi będący sprawcami ludobójstwa, a także zdeprawowany i nie wart uwagi Kościół Katolicki; no i co najważniejsze – na końcu jest też Ameryka, będąca tego całego konglomeratu zwieńczeniem i ostoją. Ameryka, wobec której ciągle w Polsce nie wolno jeszcze wyrażać otwartej wrogości, ale zarazem nie ma już wobec niej nawet cienia dawniejszego uznania ani podziwu, tak charakterystycznych dla mojego pokolenia, które po wyzwoleniu kraju, symbolicznie dla „Solidarności” Placowi Centralnemu w Nowej Hucie nadawało imię Ronalda Reagana. Jest tu więc prawdziwy miszmasz, okcydentalny groch z kapustą; wszystko to, co w pełnych zamętu głowach kojarzyć się może z pogardzaną zachodnią tożsamością. Jeśli ta hipoteza, którą stawiam tu pod dyskusję, miałaby się okazać prawdziwa, to znaczyłoby to, że Polska ma już rodzimą, narodową odmianę autodestrukcyjnego *WOKE*: skłonność do przewyciężenia swej ugruntowanej przez wieki

zachodniej tożsamości. Skłonność ta ostatnimi czasy wypełzła na światło dzienne z podziemnego świata idei zakazanych, a na dłuższą metę okaże się skłonnością samobójczą.

*Jan Rokita*

*fot. Alex Kuhn / ArtService / Forum*

**Przeczytaj również: „Z podbieszczadzkiej wsi” – felietony Jana Rokity w Teologii Politycznej**